

WŁADYSŁAW MAZUREK

Dziesiąty dzień rozprawy

Świadek Władysław Mazurek, 40 lat, lekarz weterynarii, major służby czynnej, zamieszkały w Pruszkowie, dla stron obcy.

Przewodniczący: Proszę przedstawić Trybunałowi, co panu majorowi wiadomo w tej sprawie.

Świadek: W szeregu obserwacji i doznań, które przeżyłem w czasie lat okupacji niemieckiej, streszczę się do wąskiego odcinka swej pracy na terenie obozu w Pruszkowie, przeznaczonego dla wygnańców z Warszawy. Pracowałem tam z tytułu stanowiska w zarządzie Rady Głównej Opiekuńczej delegatura Pruszków. Zajmowałem stanowisko członka zarządu od 1942 i wiceprezesa od lutego 1944 roku. 6 sierpnia 1944, a więc w sześć dni po wybuchu powstania warszawskiego, prezes naszego zarządu, ksiądz kanonik Edward Tyszka został wezwany przez komisarza miasta Bocka do pałacu, który zajmował na terenie Pruszkowa. Prezes zastał tam komisarza miasta Bocka, *Kreishauptmanna* na powiat warszawski Rupprechta i inspektora *Arbeitsamtu* na powiat warszawski Augusta Pollanda, jednocześnie *Sturmbannführera* SS. Ci trzej polecili mi w ciągu najbliższych kilku godzin (były to godziny popołudniowe) zgromadzić pięć tysięcy naczyń wraz z łyżkami i dostarczyć je na teren warsztatów kolejowych, które w owym czasie były już rozmontowane, a maszyny wywiezione do Firchau [Wierchow?]. Część maszyn pozostała na terenie warsztatów kolejowych i te były w dalszym ciągu rozmontowywane.

Tego samego dnia nasz lekarz z RGO, dr Kazimierz Lubryczyński, został również wezwany przez tę samą trójkę i polecono mu zorganizować pomoc lekarską dla ludności, która ma wyjść z Warszawy i być zamknięta w warsztatach kolejowych, nie dając mu absolutnie żadnych środków lekarskich, żadnych ludzi czy aparatu do pomocy. Całe przygotowanie administracji niemieckiej sprowadzało się do tych dwu dyspozycji.

Tego samego dnia, nie mając możliwości powiadomienia reszty społeczeństwa pruszkowskiego o nakazanej zbiórce, ksiądz prezes uciekł się do sposobu zawiadomienia wszystkich z ambony, ponieważ akurat trwała suma w kościele. W ciągu pięciu godzin odzew społeczeństwa miejscowego był tak nagły i tak ofiarny, że wcześniej, niż była wyznaczona godzina zbiórki,

dysponowaliśmy już nie tylko pięcioma tysiącami misek i łyżek, ale grubą nadwyżką. Poza tym było wiele ofiar w postaci chleba, żywności, owoców, mleka dla dzieci i in.

Na terenie warsztatów kolejowych znajdowała się kuchnia, z której dotychczas korzystali robotnicy i kolejarze. Kuchnia ta była przewidziana na cztery tysiące ludzi, którzy pracowali w warsztatach kolejowych, posiadała pewne urządzenia, które nam ułatwiły przygotowanie posiłku dla spodziewanej ludności Warszawy. W związku z tym otrzymaliśmy od Niemców, tzn. od kuchni, która dysponowała jeszcze pozostałościami po warsztatach kolejowych, trochę *ersatzu* kawy i chleba żołnierskiego. Te rzeczy oraz ofiary mieszkańców Pruszkowa pozwoliły nam na przygotowanie pierwszego gorącego posiłku dla spodziewanej ludności w postaci gorącej kawy i porcji chleba. Ale tego dnia na próżno czekaliśmy na warszawiaków.

Przewodniczący: To znaczy 6 sierpnia?

Świadek: Tak jest. Późno wieczorem otrzymaliśmy wiadomość, że o godzinie dwudziestej drugiej transport wyszedł z kościoła św. Wojciecha na Woli. Przyszli jednak dopiero nad ranem 7 sierpnia, kilka tysięcy ludzi. Po przyjeździe do Pruszkowa byli oni w stanie całkowitego i kompletnego wyczerpania, zarówno nerwowego, jak i fizycznego. Drogę tę, liczącą około siedemnaście kilometrów, przebyli pieszo. Jeśli się zważy, że przez sześć dni przebywali w Warszawie, patrząc na śmierć swoich najbliższych i sami o włos od śmierci, patrząc na palącą się całą Warszawę, zrozumiałym dla całego Trybunału się stanie, że obserwowaliśmy liczne wypadki obłąkania, zwłaszcza w pierwszych transportach, zwłaszcza w tych z Woli, które składały się niemal wyłącznie z niewiast i dzieci. Mężczyzn, zwłaszcza w sile wieku, nie obserwowaliśmy niemal wcale. Ludzie ci byli wygłodniali, nie mieli niemal nic w ustach od kilku dni, a ciepłej strawy nikt z nich nie jadł, toteż nasza kawa cieszyła się wielkim powodzeniem. Niestety, nie była ona jednak w takiej ilości, żeby można było nią napoić wszystkich potrzebujących.

Pierwszy transport został ulokowany w hali numer 1. Następne zaczęły napływać w coraz krótszych odstępach czasu. Wszyscy gromadzeni byli w tej hali, która jakkolwiek wielka, nie mogła pomieścić jednak tak ogromnego tłumu. Poparzeni, ranni, chorzy, przelewali się po prostu przez przejścia i mimo bestialskiego traktowania przez Niemców wylewali się poza ramy hali, nie mogąc się pomieścić i zresztą, chcąc wykorzystać trochę świeże powietrze, gdyż warunki panujące w tej hali były po prostu nie do opisania. Hale były zaśmieczone,

podłogą była ubita ziemia zalana oliwą, smarami oraz wodą, pełno było po kątach ekskrementów ludzkich, były porżnięte liniami szyn, między którymi znajdowały się rowy do reperacji podwozi wagonów – hale te w ogóle nie odpowiadały warunkom nie tylko dla ludzi, ale dla żadnego żywego stworzenia, zwłaszcza że – nie mogąc wyjść poza jej obręb – każdy z obecnych załatwiał najbardziej dyskretne czynności na oczach wszystkich.

Kierownictwo obozu w tym czasie spoczywało w rękach dwóch ludzi, *Oberführera SA* Stephana i *Sturmbannführera SS* Augusta Pollanda, jednocześnie kierownika i inspektora *Arbeitsamtu*. Ludzie ci, jak zauważyłem, nie byli absolutnie przygotowani do prowadzenia tego obozu, gdyż żadne przygotowania organizacyjne, zarówno co do terenu, jak i co do obsady, nie były poczynione. Toteż wzmagający się tłum, tumult, jęki, płacz, bicie, kopanie i strzały górowały nad całym obozem. Niemcy wówczas w stosunku do ludności warszawskiej mieli jeden argument – strzały – i jedną nazwę – bandyci. Toteż co chwila było słychać strzały i co chwila przynoszono do opatrzenia postrzelonych ludzi, znajdowaliśmy również trupy wzdłuż trasy wagonów lub wzdłuż murów, gdy ktoś nieopatrznie zbliżył się do nich, i w innych miejscach.

Ludzie ci byli najrozmaiciej ubrani. Ubiór ich świadczył o tym, że nie mieli absolutnie czasu na przygotowanie się do wyjścia z Warszawy. Słusznie tu ktoś zauważył, że nie byli to wysiedleńcy, lecz wygnańcy, widzieliśmy bowiem wielokrotnie zwłaszcza niewiasty ubrane tylko w piżamy, w koszulę nocną lub w nocnych pantoflach.

Jeszcze wspomnę z tego okresu taki fakt, który może najlepiej Najwyższemu Trybunałowi zilustruje stosunki panujące tam. Oto jeden z kierowników, Stephan, upił się, tak miał dość tych warunków, tak nie mógł organizacyjnie opanować tego tłumu, pobił Polaków, pokłócił się z Niemcami i wyjechał. Został kierownikiem sam Polland.

Albo drugi fakt. W pewnej chwili zauważyłem wśród wysiedleńców niewiastę obłąkaną, która według informacji otoczenia utraciła zmysły po stracie najbliższych. Widząc, że drażni swoim zachowaniem utrzymaną jeszcze równowagę otoczenia, chciałem ją wyprowadzić i przewieźć do szpitala w Tworkach. Zwróciłem się do wachmistrza żandarmerii, żeby ją wysłać do szpitala. Odpowiedział mi: Po co? Zastrzelę ją. Wyciągnął rewolwer, włożył nabój w lufę i zbliżył się do chorej z zamiarem zastrzelenia jej. Dopiero perswazją, przytrzymaniem ręki z rewolwerem, rozpaczliwymi znakami dawanymi otoczeniu, żeby ją zabrali, udało się temu zapobiec.

W ogóle w tym okresie nigdy nie wiedzieliśmy, jaki będzie efekt naszych interwencji. Czasem obracały się one przeciw nam.

Jak już wspomniałem, około 10 [sierpnia] zaczęły się organizować stałe władze obozowe. Do tej pory bowiem przychodziły transporty z Warszawy i odchodziły dopiero po pewnym czasie, ponieważ nie nadeszły jeszcze pociągi z zachodu, które by przewoziły wysiedleńców. Wywożenie odbywało się bez żadnej segregacji; ładowano wszystkich – matki, ojców, dzieci, starców, chorych i zdrowych. Wszystkich razem, bez względu na wiek, płeć i stan zdrowia. Nieraz w parę godzin po załadowaniu trzeba było z wagonów wyładowywać trupy. Oczywiście, zdarzały się niekiedy wypadki, że lekarze polscy potrafili dotrzeć do transportu i takimi czy innymi sposobami udawało się nieliczne jednostki na podstawie przepustek wyprowadzić z obozu. Bywały takie wypadki, zwłaszcza w pierwszym okresie, że nam się to udawało.

Od 10 sierpnia zaczęła się współpraca Wehrmachtu, SS i *Arbeitsamtu*. Przybyła jednostka zorganizowana, stanowiąca już gdzieś obsadę jakiegoś obozu, bo z podziałem funkcji, z pieczętką z numerem jakiegoś *Dulagu*, ze specjalistami w pewnej dziedzinie, a więc byli specjaliści od bram wejściowych i specjaliści od bram wyjściowych. Było tam trzech lekarzy. Pomocnik naczelnego lekarza Sieber był jednym z dwóch ludzi z całej załogi niemieckiej, z którym mogliśmy dojść do porozumienia – nie dlatego, żeby wysiedlonych darzył litością czy współczuciem, ale spotkaliśmy się z jego strony ze zrozumieniem, co chcę podkreślić jako rzadki fakt z okresu okupacji. Szedł on nam na rękę w dziedzinie aprowizacji, w urządzeniu kuchni, jeśli chodzi o porządki. Zresztą w bardzo znikomym stopniu.

Zadaniem Wehrmachtu była obsada bram i przestrzeganie porządku obozowego. Regulaminu pisanego nie było. Każdy z wygnańców dowiadywał się o nim, jak dostał w łeb. Znaczyło to, że tego nie wolno robić. Komendantem był *Sturmbannführer*. Odpowiada to w wojsku stopniowi majora. W Wehrmachcie był pułkownik. W praktyce jednak właściwym komendantem był Diehl, a więc SS. Diehl miał do dyspozycji kilku oficerów. Trudno powiedzieć, ilu ich było, bo wielu przyjeżdżało i odjeżdżało w tajemniczych kierunkach tak, że stan ich był płynny. Mieli w dyspozycji kilkudziesięciu SS-manów. Mundury ich były podobne do żandarmerii porządkowej, jednak nazywali się SS-manami.

Zadaniem SS było kontrolowanie obozu, a więc sprawowanie komendy nad nim. Jedną z najważniejszych funkcji było segregowanie ludności. Było to jedno z najstraszniejszych

przeżyć dla wygnańców warszawskich. Poza tym konwojowali transporty z Warszawy, a czasem i dalej. Sprawowali te funkcje zarówno w stosunku do wysiedlonych, jak i do personelu polskiego.

Część chorych, którzy nie nadawali się do żadnej pracy, a nawet do transportu, była umieszczana na liście zestawianej przez personel lekarski polski i zatwierdzonej przez niemieckich lekarzy wojskowych, prócz tego jeszcze musiała ona uzyskać akceptację „zielonego wagonu”, a więc SS. Siedzibą SS były dwa zielone wagony, przeznaczone dla nich specjalnie, przystosowane do pracy, stanowiące gabinety, kancelarie.

Trzecią władzę stanowił *Arbeitsamt*. Kierownikiem jego był August Polland. Inspektorem *Arbeitsamtu* był *Sturmführer* SS. Był to człowiek o specjalnym charakterze, zresztą trudno go nazwać tą nazwą. Jeżeli chodzi o jego stosunek do Polaków, pogarszał się on z dnia na dzień. Nie potrafił przejść spokojnie obok żadnego z wysiedlonych, jak i członków personelu polskiego, żeby nie kopnąć, nie potrącić, nie postraszyć pistoletem, a choćby nie plunąć w jego stronę. Różnił się on tym od Diehla, komendanta SS, który był typem zimnego, zrównoważonego, z żelazną konsekwencją przeprowadzającego co zechce człowieka. Ten ludzi nie bił, ale wszystko się działo w obozie z jego wiedzą i aprobatą. Polland bił ludzi własnoręcznie, miał z tego specjalną satysfakcję. Gdy zarządzał segregacją ludzi, biada tym, którzy chcieli iść razem na dolę i niedolę i zdradzili [się] z tym przed nim – nie pojechali razem, ale każdy pojechał transportem do innego obozu pracy. Jeśli nie mógł samotnemu zrobić nic innego, to pozbawiał go psa, odebrał mu kanarka czy mizerny jakiś drobiazg, który mu pozostał jako jedyna rzecz. Dysponował kilkudziesięciosobowym aparatem, który dokonywał ładowania transportu do Rzeszy i różnych transportów pomocniczych.

Mam wrażenie, że zarówno SS, jak i *Arbeitsamt* były w ciągłym kontakcie z obozami rozdzielczymi pracy w Niemczech i na ich zamówienie wysyłały taką czy inną liczbę osób.

Zasady segregacji, jakiej podlegali wszyscy wysiedleni, były następujące: ludzie niezdolni do pracy, a więc niewyjeżdżający do pracy w Rzeszy, lecz na tzw. bliski wyjazd do jednego z miast GG – Częstochowy, Skarżyska Kamiennej, Kielc. Niezdolni do pracy, jak to się nazywało. Były to niewiasty z dziećmi poniżej piętnastu lat, w widocznej ciąży, powyżej pięćdziesięciu lat i mężczyźni powyżej sześćdziesięciu. Tak to wyglądało w teorii, jednak w praktyce okazało się to ordynarną fikcją, bo nikt nie sprawdzał wieku na podstawie choćby karty rozpoznawczej,

nikt nie sprawdzał stanu zdrowia na podstawie orzeczenia lekarskiego czy świadectwa, czy prześwietlenia, które to dowody wielu ludzi miało przy sobie, i to zaświadczenia niemieckich komisji, niemieckich lekarzy. Klasyfikacji dokonywał zwykły *gemein* żandarm, bardzo szybko, na oko: zdolny do pracy – na lewo, niezdolny – na prawo. Odwołania od tych wyroków nie było. Klasyfikacja ta odbywała się w atmosferze krzyku, bicia, popychania, strzelania. Nie było żadnych protestów, nie mogło być żadnych zastrzeżeń, nie było czasu na to, by małżeństwo czy rodzeństwo mogło się pożegnać, nie było czasu na to, by mogło rozdzielić wspólny najczęściej bagaż i zwykle brała go jedna lub druga strona.

W tym samym czasie, gdy nastąpiła organizacja władz niemieckich, skryształizowała się organizacja nie tyle władz, ile służby polskiego personelu. Składał się on z trzech członów: obozowej sekcji delegatury RGO w Pruszkowie, działu gospodarczego i działu sanitarnego. Dwa pierwsze były ze sobą ściśle związane, bo dział gospodarczy zorganizowany został przez sekcję obozową delegatury RGO. Te dwa działy weszły na teren obozu jako pewna organizacyjna całość, bo jakkolwiek komplet ludzi został dobrany, jednak my, delegatura RGO, stanowiliśmy pewną część. Jeżeli zaś chodzi o dział lekarsko-sanitarny, powstał on spontanicznie, jeden lekarz miał poruczoną opiekę lekarską nad całą kilkudziesięcioletnią masą, jaka przepłynęła przez Pruszków, ale dział lekarsko-sanitarny w miarę, jak się rozwijała cała działalność na terenie obozu, liczył około pięciuset osób. Ludzie rekrutowali się zarówno z miejscowych lekarzy pruszkowskich, którzy dali początek, jak i sióstr miłosierdzia, jak również lekarzy, sanitariuszy, sióstr i pielęgniarek wysiedlonych z Warszawy. Widząc coraz większe zapotrzebowanie, coraz większą konieczność udzielania pomocy, zwiększało się personel w miarę możliwości. A każdy niemal z wysiedlonych z Warszawy był chory, każdy niemal potrzebował pomocy, bo jeżeli nie był ranny i zasypany, odratowany, poparzony czy kontuzjowany, to w takim stanie wyczerpania nerwowego i fizycznego, że winien się znaleźć w szpitalu albo w warunkach sanatoryjnych. Tymczasem trafiał do obozu, gdzie nie tylko chory, ale zdrowy mógł stracić zdrowie i życie. Pomoc lekarska była bardzo ograniczona, jakkolwiek bowiem było około pięciuset osób personelu lekarsko-sanitarnego, niemniej wobec tysięcznych tłumów przybywających codziennie do obozu było niemożliwością zbadanie już nie wszystkich, ale nawet drobnej ich części, zwłaszcza że każdy był w takim stanie, że nie był zdolny ani do pracy, ani do dalszej jazdy, transportu.

Hala druga była przeznaczona na tzw. izbę chorych, nie dlatego, żeby tam udzielano opatrunków, bo jakkolwiek robiono to, ale traktowano jako uboczne zajęcie. Tam się odbywało

zestawianie tej najważniejszej listy chorych, którzy nie byli zdolni do pracy czy dalszego transportu. Stamtąd było można wyjść na wolność, dostawszy się na listę sporządzoną przez lekarzy Polaków, sprawdzoną przez lekarzy Niemców i akceptowaną przez „zielony wagon”. Żeby odciążać izbę chorych, żeby jak najszerzej dotrzeć do tych chorych, zorganizowano przy każdej hali tzw. komplet lekarsko-sanitarny, składający się z lekarza i kilku lub kilkunastu sióstr. Nie był to PCK, jak twierdzili niektórzy. U nas na prowincji był on rozwiązany przez Niemców, tak że my, jako delegatura RGO, przejęliśmy niektóre ośrodki, którymi się opiekował przedtem PCK. Były to siostry, które wcześniej należały do niego, albo pochodziły z ich szkoły pielęgniarek, w każdym razie to nie był PCK, jakkolwiek myśmy tą nazwą dział lekarsko oddzieliłi. Ja na jednym z zebrzań organizacyjnych od razu tę kwestię postawiłem, żeby siostry, które udzielały opatrunków, nosiły opaskę z czerwonym krzyżem dla odróżnienia od działu gospodarczego, który nosił tylko białe fartuchy, żeby zorientować wysiedlonych, do kogo się mają zwracać po posiłek, a do kogo po opatrunek.

Przewodniczący: Panie majorze, pan był w obozie pruszkowskim, gdy zwiedzał go delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dr Wyss?

Świadek: Nie wiem, jak się nazywał, był silny brunet, to była delegacja MCK.

Przewodniczący: Czy nie żądano od was jakiejś deklaracji, jakiegoś oświadczenia?

Świadek: [Aż] zanadto dobrze to pamiętam, to się odbiło właśnie na nas. Chciałem dojść do tego, ale odpowiem teraz. Właśnie wtedy, kiedy sygnalizowano przyjazd delegacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, czyniono dość duże przygotowania w obozie, a więc zarówno, jeżeli chodzi o porządek, o wagon odwyszalnię, o których mówił poprzedni świadek, był on sprowadzony na czas komisji, potem wyjechał z powrotem. Czyniono specjalne przygotowania, przyjechały wagony pulmanowskie, wysiedleni jechali pulmanami, a nie otwartymi węglarkami jak dotychczas. Między innymi przygotowania te dotknęły i nas w tym sensie, że 5 września ksiądz Tyszka i ja zostaliśmy wezwani przez Diehla do „zielonego wagonu”. Nie pozwolono zabrać naszego tłumacza, członka RGO, tylko nas dwóch i tam, po krótkim przemówieniu wstępnym Diehla, zażądano podpisania deklaracji w języku niemieckim. Tłumaczem była jedna siostra, do której ksiądz przewodniczący ani ja nie mieliśmy zaufania. Mam treść tej deklaracji: „My, niżej podpisani kierownicy polskiego komitetu RGO, współpracownicy i współpracowniczki, stwierdzamy swoim podpisem,

że oswobodzona spod terroru cywilna ludność Warszawy, która się obecnie znajduje w Pruszkowie, w obozie dla wysiedlonych z Warszawy, o ile na to pozwalają warunki, ma dostarczone wyżywienie i zapewnioną opiekę lekarską. Stwierdzamy również, że żadne nadużycia i bezprawia nie mają miejsca oraz, że ze strony władz niemieckich polski komitet RGO nie doznał żadnych trudności w niesieniu pomocy materialnej i duchowej. My, niżej podpisani stwierdzamy, że powyższe wyjaśnienie składamy bez przymusu, na życzenie władz niemieckich”.

Otóż treść tę w języku niemieckim kazano nam podpisać. Zarówno proboszcz, jak i ja, kategorycznie się temu sprzeciwił. Podnieśliśmy, iż nie jest to zgodne z prawdą, już pomijając bestialskość przy klasyfikowaniu, jak rozdzielanie rodzin, jak w stosunku do nas uniemożliwianie nam niesienia tej pomocy, jaką chcieliśmy, wszystko nie jest zgodne z tonem i z treścią tej deklaracji.

Diehl wystąpił z argumentami tego rodzaju: Złapałem w paczkach dostarczanych przez delegaturę RGO (w rzeczywistości tylko pośredniczyliśmy) bombę zapalającą. Uważam to za zamach na całość obozu. Istotnie, bombę mi kiedyś pokazywał, lecz była ona w opakowaniu, które w niczym nie przypominało tych paczek, w których dostarczaniu pośredniczyliśmy. Dla mnie to była bzdura. – Poza tym stwierdziłem, za pomocą swego wywiadu, że wy, personel polski, na swoje przepustki wyprowadzacie ludzi z obozu. Jeżeli za te wasze przestępstwa nie wyciągnąłem konsekwencji, nie okazałem się w stosunku do was nieludzkim, wobec tego uważam, że należy, aby deklaracja ta była przez was podpisana.

My jednak, uważając, że treść deklaracji zbyt odbiega od istoty rzeczy, opieraliśmy się temu i odmawialiśmy złożenia swoich podpisów.

Wówczas on oświadczył krótko, że wyciągnie z tego konsekwencje i zamieni natychmiast personel polski na niemiecki, przy czym ten personel niemiecki jest już przygotowany i może natychmiast objąć urządowanie. Istotnie, widzieliśmy siostry niemieckie i obcych ludzi.

Powzięć decyzję w tych warunkach, w jakich się znaleźliśmy, nie było rzeczą łatwą. Nie chodziło nam o nasze bezpieczeństwo. Myśmy w tym okresie pracowali bez oglądania się na niebezpieczeństwo, bo i w Pruszkowie było powstanie, ono się nie udało. Wszyscy ci, którzy brali w nim udział, jak i ci, którzy nie brali, chcieli dać wszystko, aby przyjść z pomocą tym wysiedlonym, którzy byli w Warszawie. Kwestia bezpieczeństwa osobistego nie grała żadnej

roli. Ale nie sposób w tak ciężkiej sytuacji, w jakiej znajdowali się wysiedleni w obozie, nie zastanowić się. Zresztą mało mieliśmy czasu, parę minut. Niemniej uzgodniliśmy z prezesem, wiedząc, że narażamy swoje nazwiska na kompromitację, te nazwiska zgłosiliśmy [podpisaliśmy się].

Personel polski liczył wówczas tysiąc osób: pięćset sanitarno-lekarski i pięćset w kuchni. Trudno było go wydalić. Przecież najważniejszym zadaniem naszym było wyprowadzenie ludzi z obozu. Nie wiedzieliśmy, że idą do Niemiec, do pracy. Było początkowo przypuszczenie, że męskie transporty idą do obozów.

Podpisaliśmy tę deklarację w chwili, kiedy przygotowywano treść polską. W zamęcie wizyty Bacha dano nam do podpisu treść polską, nie mieliśmy możliwości przeczytania jej. Podpisaliśmy.

Pod tekstem polskim było więcej podpisów: dr Jadwiga Kiełbasińska, ks. Edward Tyszka, Władysław Mazurek, to jest ja, Tyszkiewicz – przełożona sióstr, Maria Bogucka – kierowniczka kuchni, Maria Dreszerowa – siostra. Tę deklarację polską podpisało sześć osób.

Treść deklaracji ukazała się w pismach w sensie całkowicie zmienionym, bo stwierdzano, że oświadczamy to pod przysięgą, że ludność ewakuowana znajduje w obozie dobre pomieszczenie, wystarczające wyżywienie i odpowiednią opiekę lekarską, że pod względem opieki cielesnej i duchowej praca RGO nie napotyka żadnych trudności ze strony niemieckiej i że powyższe oświadczenie zostało złożone przez nas dobrowolnie oraz na własne życzenie. Treść jest więc zniekształcona o tyle, że powiększała znacznie istotę tej deklaracji na korzyść Niemców. Trudno, podpisaliśmy ją, zdając sobie sprawę, że to jest niezgodne z prawdą.

Na pierwszy rzut oka opieka lekarska była, wyżywienie było, opieka duszpasterska była, ale to wszystko było nie to, co się zwykle pod tymi słowami rozumie. A wszystko to w niedostatecznej mierze i w żadnym stopniu nie spełniało swojej roli.

Przewodniczący: Widzę, że wystarczające są te zeznania. Pytań nie ma? Dziękuję panu majorowi.